



Przez historię sztuki za profesorem Zlatem

prof. Jan Wrabec

il. 1 Prof. Mieczysław Zlat – portret w muszce, 2011. Fot. M. S.-Z.

W roku 1958 ostatecznie rozstałem się z architekturą i przenieśliem na historię sztuki. Świeże były jeszcze wspomnienia z października 1956, kiedy razem z innymi studentami Politechniki brałem udział w wiecu przed budynkiem rektoratu przy Wybrzeżu Wyspiańskiego, a po nim – w pochodzie, który, mijając Poczta Główną, skandował: „Rokossowski, zjeżdżaj z Polski” i „Pająk z poczty” (chodziło o anteny nadajników służących do zagłuszania Wolnej Europy). Rok po tych wydarzeniach na Uniwersytecie im. Bolesława Bieruta otwarto ponownie kierunek „Historia sztuki”, zlikwidowany po śmierci prof. Władysława Podlasy, w atmosferze szczytowego okresu stalinizmu, kiedy humanistykę próbowano zastąpić marksistowską propagandą

Miałem już dość atmosfery panującej wówczas na Wydziale Architektury – opartej na strachu i na braku szacunku dla studenta, socjalistycznego reżimu pracy, połączonego ze stałą kontrolą i niezadko z odpowiedzialnością zbiorową. Obok mnie zasiadał absolwent technikum z Opola, przyjęty bez egzaminu za to, że zdobył wyróżnienie w konkursie na mauzoleum Stalina – miało być w kształcie pięcioramienną gwiazdy, wspartej na rzędach jońskich kolumn. Wszędzie uwijali się „koledzy z ZMP” w zielonych koszulkach i czerwonych krawatach. „Technicznego” stosunku do studenta nie było w stanie zmienić kilku starszych profesorów, zepchniętych do narożnika ze względu na burżuazyjne pochodzenie – jak historycy architektury, prof. Tadeusz Broniewski i doc. Jerzy Hawrot, a przede wszystkim wielki dżentelmen i dobry człowiek – prof. Kazimierz Ciechanowski z Politechniki Lwowskiej. Nie bez znaczenia była tu jednak także moja wrodzona, humanistyczna awersja do przedmiotów ścisłych i techniki, których nie brakło na architekturze, oraz zamiłowanie do malarstwa.

W tym czasie „Historia sztuki” mieściła się tam gdzie dziś – w budynku przy ul. Szewskiej 36 na I piętrze, naprzeciwko Instytutu Historycznego, do którego z czasem na kilkanaście lat nas eksmitowano. Nie był on jeszcze tak pięknie odrestaurowany i inny był rozkład pomieszczeń. Prosto ze schodów wchodziło się do niewielkiej poczekalni dla studentów. Na jej ścianie wisiała ogromna czarno-biała reprodukcja – *Hołdu Pruskiego* Jana Matejki. Kazał ją zawiesić prof. Marian Morelowski, niewątpliwie dla upokorzenia butnych Niemców, gdyby jeszcze któryś z nich przetrwał w polskim Wrocławiu. Neutralna przestrzeń, jaką stanowiły poczekalnia oraz przyległa do niej sala wykładowa i biblioteka, rozdzielała dwie Katedry – Historii Sztuki Średniowiecznej i Historii Sztuki Nowożytnej, a zarazem strefy wpływów prof. Mariana Morelowskiego i prof. Zbigniewa Hornunga. Obydwaj starsi panowie, różniący się od siebie jak ogień i woda, nie lubili się i woleli nie spotykać. Wspólny był natomiast również kontekst, czyli otoczenie, w którym przyszło im żyć i pracować – zrujnowane przez wojnę stare miasto Wrocławia, z kilkoma ocalałymi zabytkami z czasów średniowiecza i baroku. Na zapleczu ul. Szewskiej na Nowym Targu funkcjonował w najlepsze główny szaber-plac, gdzie można było nabyć prawie wszystko. Do dzisiaj mam kupione tamże niemieckie mapy Śląska. Zdarzało się, że do sali wykładowej wdzierał się

pijak podający się za oficera. Musieliśmy interweniować z Piotrusiem Łukaszewiczem, wołając do pomocy starego lwowskiego pedla, który dyżurował na parterze. Czasem w bramie można było znaleźć ukradziony komuś portfel, wypróżniony wprawdzie z pieniędzy, ale z dokumentami – złodzieje przestrzegali jeszcze wtedy zasad etyki zawodowej.

Prof. Morelowski, typowy sangwinik, elegancki i szarmancki w dawnym stylu, wydawał mi się ostatnim wcieleniem sarmaty. Prof. Hornung, nie przywiązujący większej wagi do stroju, mówił monotennie i poruszał się powoli. Dzielili ich również wiele pod względem naukowym. Prof. Morelowski – mediewista, zasłużony dla rewindykacji polskich dóbr kultury z zagranicy, we Wrocławiu skoncentrował się na dowodzeniu odwiecznej polskości Śląska, przyłączonego po wojnie „do macierzy”. W związku z tym lekceważył wszystko, co w jego kulturze było niemieckie, starając się wydobyć tylko to, co rodzime, a przynajmniej włoskie, walońskie lub francuskie. Nierzadko cel uświęcał środki, ale było to zgodne z powojennymi nastrojami społecznymi i z polityką władz PRL, które, mało robiąc dla Śląska, na każdym kroku głosiły hasło, że tutaj zawsze „byliśmy, jesteście, będziemy”. Inaczej prof. Hornung – typowy Galicjanin, wielki patriota, ale w sercu noszący też sentyment do „nieboszczki Austrii”. Jako zapamiętały barokista, widział on analogie między umiłowaną sztuką utraconych Kresów wschodnich i Śląska sprzed aneksji pruskiej. Jego badania i wykłady pozostawały wolne od uprzedzeń narodowościowych, co było tak bardzo potrzebne dla ratowania narażonej na zagładę sztuki śląskiej.

Jako trzeci w tym środowisku działał wówczas młody asystent – mgr Mieczysław Zlat. Emocjonalne seminaria prof. Morelowskiego (przeważnie na ten sam temat) i utrzymane na wysokim poziomie naukowym, ale nudne, bo wygłaszane monotennym głosem, wykłady monograficzne prof. Hornunga, za trudne dla nieprzygotowanego adepta historii sztuki, nie mogły pociągać młodego człowieka. Natomiast kontakt z mgr. Zlatem był dla mnie (i dla innych studentów) niemalym zaskoczeniem i stanowił antidotum na doświadczenia z architektury. Ten wykładowca miał prawdziwie humanistyczny, pełen życzliwości i szacunku stosunek do każdego ze studentów, co zresztą stało się trwałą tradycją naszego wrocławskiego ośrodka. Nareszcie nie czułem się traktowany jak trybik w skomplikowanym mechanizmie. Dobremu kontaktowi ze Zlatem sprzyjały (zwłaszcza w przypadku pań) jego budząca sympatię aparycja i erudycja, połączona z wielką umiejętnością przekazywania wiedzy. Prowadził on zajęcia ze „Wstępu do historii sztuki”, wtajemniczając nas stopniowo w arkana tej dyscypliny. Wiedzieliśmy, że był jednym z ostatnich uczniów prof. Podlacha ze Lwowa – założyciela polskiego studium historii sztuki we Wrocławiu i wielkiego autorytetu. Miał on Zlatowi powierzyć konspekt tego przedmiotu, stanowiący owoc jego badań metodologicznych. Zlat należał do nielicznych, którzy przetrwali na miejscu po śmierci mistrza i po likwidacji kierunku

Bardzo wiele nauczyłem się, jeżdżąc z nim na objazdy. Działo się to jednak już w latach późniejszych, kiedy byłem asystentem prof. Hornun-

ga. W czasie moich studiów objazdów nie organizowano; co najwyżej wyruszyliśmy pociągiem do Trzebnicy, traktowanej nieomal jak narodowe sanktuarium. Potem było już lepiej, ale letnie obozy inwentaryzacyjne, z braku pieniędzy, musiały niekiedy odbywać się we Wrocławiu. Złat zawsze wydawał się postacią centralną na tych objazdach – rozmowny i dowcipny, bez trudu przełamywał dystans dzielący nauczyciela od studentów. Tym łatwiej wprowadzał nas w pracę terenową, która stanowi prawdziwy urok naszej dyscypliny. Na objazdach przekonałem się, że historyk sztuki musi równie dobrze poruszać się po wywoskowanych parkietach pałaców i muzeów, jak w błocie PGR-ów. Ze Złatem odkrywaliśmy Śląsk, ale docieraliśmy także na wschód – do Rzeszowa, Łańcuta i Przemysła, skąd – jak wieść niosła – pochodził nasz nauczyciel.

Atmosfera tych wypraw była bardzo przyjemna. Śpiewaliśmy ciągle „Od zabytka do zabytka, wyciągamy już kopytka”, ale i: „Zimą czy latem, my chcemy ze Złatem”. Był uwielbiany przez młodzież – zwłaszcza żeńską, której nigdy nie brakło na historii sztuki. Krążyło na jego temat wiele anegdotek i piosenek. Osobiście rozmowom z nim, prowadzonym w trakcie noclegów podczas objazdów i obozów, zawdzięczam sporo porad życiowo-zawodowych, które do dzisiaj pamiętam. Złat był zdania, że nie należy bez reszty poświęcać się pracy naukowej, ze stratą dla innych zainteresowań i sfer życia. Ostrzegał przed atestowaniem dzieł sztuki do celów komercyjnych, jako niezgodnym z etyką zawodową. Dla młodego adepta historii sztuki, rozpoczynającego swoją pracę naukową, były to ważne rady.

Zostałem przyjęty od razu na II rok historii sztuki dzięki poparciu prof. Morelowskiego, który wziął też pod uwagę mój głos w dyskusji o współczesnej sztuce sakralnej, opublikowany niewiele przedtem przez „Tygodnik Powszechny”, pod nieco egzaltowanym tytułem: *Niech będzie trudna jak życie*. Do dziś pamiętam wizytę w domu Profesora. Spoczywał on na otomanie, niczym dawny sarmata, a nad nim wisiał wschodni kobierczyk. Jednak w czasie studiów zauroczył mnie barokiem prof. Hornung, proponując asystenturę, i w efekcie z nim się związałem. Ze Złatem byliśmy więc w przeciwstawnych obozach, ale nie wpłynęło to negatywnie na nasze wzajemne relacje. Przez całe moje naukowe życie czułem za sobą jego poparcie, choć zdarzały się słowa krytyki. Sam starałem się zawsze być wobec niego lojalny. Kiedyś spędzaliśmy z żoną Sylwestra u przyjaciół w pałacu w Mniszkowie koło Janowic Wielkich. Rano, gdy trzeba było wrócić, nasza „zastawa” nie chciała zapalić. Na szczęście było z górki, więc udało się zjechać do warsztatu na dole. Gdy wokół silnika zgromadzili się bezsilni mechanicy, uświadomiłem sobie, że zapomniałem przełączyć ukrytą dźwignię, wyłączającą zabezpieczenie przeciw kradzieży. Moja kompromitacja rozpowszechniła się w środowisku, a prof. Złat, napotkany w bibliotece powiedział: „Oj, czas już, panie Janie, zostać profesorem...”.

Sfera naukowych zainteresowań prof. Złata była dość odległa od mojej. On penetrował okres między późnym gotykiem a renesansem, ja skoncentrowałem się zdecydowanie na XVIII w., na późnym baroku

i na sztuce rokoka. Zafascynowany początkowo malarstwem, skupiłem się jednak na tym, na czym znałem się najlepiej – na architekturze. Natomiast prof. Zlat zajmował się często rzeźbą. Były to czasy, kiedy w Polsce, głównie dzięki profesorom Lechowi Kalinowskiemu i Janowi Białostockiemu, upowszechniała się metoda ikonologiczna, uprawiana na bardzo różnym – przeważnie zaledwie ikonograficznym – poziomie. Obydwaj koryfeusze tej metody, przede wszystkim prof. Kalinowski, bardzo cenili dokonania Złata w owej dziedzinie. Ja trzymałem, się za prof. Hornungiem, tradycyjnych metod analizy formalnej, ale z czasem, nie bez wpływu prof. Złata, uległem też urokowi ikonologii.

Największe zasługi – moim zdaniem – ma Zlat jako pierwszy reprezentant badań polskich nad sztuką Śląska: w sposób trwały i niemal wyłączny z nim związany, a zarazem wolny od narodowych uprzedzeń. Uczył nas przede wszystkim tę sztukę rozumieć, cenić, analizować i w miarę możliwości chronić. Był to początek kształtowania się idei „wspólnego, wielokulturowego dziedzictwa”. Liczyły się wartości artystyczne i specyficznie śląski (lub europejski) kontekst historyczno-kulturowy, a nie narodowość twórcy – polskie, niemieckie czy czeskie brzmienie jego nazwiska. W takim bezstronnym wykonywaniu obowiązków historyka sztuki widzieliśmy także realizację polskiej racji stanu. Wykształciła się w Polsce z czasem grupa praktykujących te zasady badaczy. Należeli do niej Tadeusz Chrzanowski, Konstanty Kalinowski, Marian Kutzner, Samuel Gumiński i inni. Jednak tylko Mieczysław Zlat związał swoje życie w sposób trwały – na złe i na dobre – ze zniszczonym i bardzo powoli odbudowywanym Wrocławiem. Razem z prof. Tadeuszem Broniewskim z Politechniki stworzył dwa wydawnictwa. Ich znaczenia nie sposób przecenić. Pierwsze z nich stanowiło zbiór ukazujących się kolejno małych monografii miast i miejscowości pod wspólną nazwą „Śląsk w Zabytkach Sztuki”, a drugie to „Sztuka Wrocławia” – gruby tom, do którego dotąd musi sięgać każdy, kto zajmuje się stolicą Dolnego Śląska. Wszystkie te publikacje łączyły wspólne cechy: wysoki poziom naukowy i przystępna dla każdego forma językowa. Korzystać z nich mogli (i mogą) zarówno krajoznawcy amatorzy, jak i profesjonaliści w dziedzinie sztuki. Popularyzowały one nieskazoną nacjonalizmem wiedzę o Śląsku, jakiej nie dało się wtedy znaleźć w innych wydawnictwach. W serii „Śląsk w Zabytkach Sztuki” pod opieką obydwu Redaktorów opublikowałem pierwszą moją książeczkę o Legnickim Polu. Kiedy pod koniec lat 80. XX w. – na życzenie Towarzystwa Przyjaciół Legnicy – przygotowywałem jej drugie wydanie, ówczesny kierownik redakcji historii sztuki „Ossolineum”, zwróciwszy mi uwagę, że w tekście zbyt często używam słowa „solidarność”, zaskoczył mnie informacją, iż władze oficyny mają zamiar zlikwidować doskonale sprzedającą się serię, domyśliłem się, że prawdziwą przyczyną jest osoba jej redaktora – prof. Złata.

Aby zabytki Śląska uratować przed zniszczeniem, trzeba było jednak nie tylko spopularyzować wśród jego nowych mieszkańców, ale również, przede wszystkim – zinwentaryzować. Prof. Zlat często mówił o tym w naszym gronie. Wyobrażał sobie, że we Wrocławiu powinna powstać



— il.2 Na wakacjach w Barcelonie, 2010. Fot. M. S.-Z.

delegatura Instytutu Sztuki PAN, której wyłącznym zadaniem byłoby przygotowywanie kolejnych tomików „Katalogu Zabytków Sztuki na Dolnym Śląsku”. Było ich przecież tutaj znacznie więcej niż w innych regionach, dawno już opracowanych. Niestety, plany te nie zostały zrealizowane i do tej pory większa część zabytków Dolnego Śląska nie ma innej inwentaryzacji poza dokumentacją przechowywaną w Urzędach Konserwatorskich i w Centrum Dziedzictwa Kulturowego. Powiaty Górnego Śląska zostały opracowane przez ekipę Tadeusza Chrzanowskiego i Mariana Korneckiego. Pod redakcją prof. Złata i Jakuba Pokory ukazało się zaledwie kilka tomików obejmujących część terytorium ówczesnego województwa wrocławskiego. Wśród nich m.in. też mój katalog zabytków z okolic Milicza, Żmigrodu i Twardogóry. Współpraca z prof. Zlatem jako redaktorem i tym razem dała mi wiele. Było mi miło, kiedy zaproponował on – rezygnując ze swoich uprawnień – abym sam napisał syntetyczny wstęp do tego tomiku. Czułem się również wyróżniony, gdy, wycofując się z funkcji redaktora katalogów, na to miejsce polecił mnie. Niestety, wkrótce musiałem ustąpić, gdyż w nowych warunkach ekonomicznych po 1989 r. IS PAN nie znalazł wystarczających środków, aby dalej finansować przedsięwzięcie. W efekcie podjęła je dr Elżbieta Kołaczekiewicz z grupą kolegów z Uniwersytetu Wrocławskiego, ale już bez mojego udziału. W związku z tym ukazały się jeszcze dwa tomiki. Mamy więc dzisiaj szereg leksykonów zabytków Dolnego Śląska o dość niskim poziomie i tzw. „polskiego Dehia” – o nieco wyższym, ale za to z dość licznymi brakami.

Być może, jeszcze większy autorytet zdobył prof. Zlat jako działacz opozycji demokratycznej. W książce Przemysława Bystrzyckiego *Nad Sanem, nad zielonookim*, zawierającej wspomnienia z młodości spędzonej w Przemyśle, znalazłem informację (cytuje z pamięci), że w czasie okupacji niemieckiej „bracia Zlatowie konspirowali za ścianą na potęgę”. Nie wiedziałem o tym jeszcze w marcu 1968, kiedy, wkrótce po ślubie, braliśmy z żoną udział w strajku okupacyjnym na uniwersytecie, na znak solidarności ze studentami Warszawy i Krakowa. Zlat pełnił wtedy funkcję prodziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego, będącego w tym czasie terenem zmagania filozofów i politologów marksistowskich z profesorami, którzy w większości poparli, za rektorem Alfredem Jahnem, postulaty studentów. Już wtedy Profesor zyskał na uniwersytecie autorytet, mimo że dziekanem został po nim marcowy „docent niskie czółko”, a rektorem – jeden z tych „milicjantów, którzy w plecaku nosili berło rektorskie” – jak mówili o nich studenci.

Ciąg dalszy nastąpił w 1980 r., w okresie „karnawału Solidarności”. Prof. Zlat mocno zaangażował się w ruch: jako jeden z najważniejszych doradców i ekspertów dolnośląskich władz Związku. Gdy nadszedł grudzień 1981, początkowo się ukrywał, ale po pewnym czasie został ujęty i osadzony w więzieniu. Staraliśmy się wtedy, jak mogliśmy, wspomagać jego rodzinę i zastępować go w obowiązkach na uniwersytecie. Niewielu historyków sztuki w Polsce zaangażowało się w aktywność opozycyjną w tym stopniu, co on, czuliśmy jednak powszechne poparcie w naszym

środoowisku. Po zwolnieniu z „internatu” prof. Zlat powrócił na uniwersytet, prowadząc jednocześnie konspiracyjną działalność doradcy podziemnej „Solidarności”. W odróżnieniu od innych należał do tej grupy opozycjonistów, którzy po zwycięstwie transformacji nie próbowali zdyskontować swoich zasług, angażując się w politykę lub w jakikolwiek inny sposób.

Kiedyś na ekranie telewizora zobaczyłem twarz Zlata wśród działaczy wrocławskiej opozycji, którym przyznano wysokie odznaczenia państwowe za zasługi. Kiedy go spotkałem później na korytarzu uniwersyteckim, zapragnąłem wyrazić swoją radość i złożyć mu gratulacje z tego powodu. Długo nie chciał się przyznać, że to on. „To z inicjatywy kardynała Gulbinowicza” – powiedział na koniec.

prof. dr hab. Jan Wrabec

Emerytowany profesor historii sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego. Autor kilku książek i kilkunastu artykułów, głównie na temat baroku na Śląsku oraz związków między architekturą a językiem w tej epoce.

Summary

JAN WRABEC / Through history of art following Professor Zlat

I met Mieczysław Zlat for the first time in 1958, when I moved from Architecture to History of Art. I was surprised with his amazing skills of making contacts with students, without exaggeration in shortening the distance, but still marked with directness, mutual respect and kindness. The friendly atmosphere, conjured up by and around him, made the passing of knowledge easier in the times when the majority of academies were predominated by fear, suspicion and almost military discipline. Getting to know the rudiments of a new discipline was easier for young adepts of art history, and I was one of them.

When I became Prof. Hornung’s assistant, Zlat co-operated with Prof. Morelowski. Our academic interest were also quite distant from each other. He focused on art from the turn of Late Gothic to Renaissance, I specialised in architecture of Late Baroque. Following Prof. Hornung I stuck to traditional methods of formal-and-stylistic analysis – he was one of the pioneers of iconology in Poland. However, I owe to Prof. Lech Kalinowski and Zlat that at present I apply this method more and more willingly. Prof. Zlat introduced to us, without any nationalistic prejudices, a rich and varied landscape of Silesian art, at the same time teaching us outdoor work. And cataloguing. Zlat came from Przemyśl and belonged to few at that time researchers of Silesian art who made firm connections with Wrocław. To him (and Tadeusz Broniewski) the historical conscience of the Poles settled in Silesia after the war should be grateful for such valuable for this region publications as the series „Śląsk w Zabytkach Sztuki” [“Silesia in Art Monuments”] and „Sztuka Wrocławia” [“Art in Wrocław”] and (with Jakub Pokora) the first volumes of the “Catalogue of Art Monuments in Poland”.

In the background of Prof. Zlat’s didactic and scientific activity the most visible was always his patriotic attitude to which his authority certainly owed most. He conspired already in his youth during the Nazi occupation. As a vice dean he took part in the accidents of March 1968, and in the times of “Solidarity” he became one of the most important councillors of the Association authorities. He was interned during martial law. Unlike many others, he never tried to benefit in any way from his merits in independent Poland.



— il. 3 Na rybach. Fot. M. S.-Z.